Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 86 (1660) Warszawa, piątek, 27 października Cena 50 gr

JEST wśród nas grupa tzw. „zgrywusów", którzy robią wszystko, aby zaimponować innym. Nie zdają sobie sprawy z tego, że zaimponować można wówczas, kiedy postępuje się właściwie. Prawdziwy bohater nie afiszuje się swym zwycięstwem, swoją odwagą. Jest skromny, dzielny i uczciwy. A jacyż są oni, „bohaterowie" — smarkacze z ciemnych ulic?

Słabi, wyzbyci z jakichkolwiek uczuć. Uważają solidną naukę za rzecz niegodną uwagi. „Cóż może znaczyć nauka, niech kujony sobie kują, a my możemy urządzić awanturę taką, że aż hej!"

KLUB NASTOLATKÓW

Czyż tymi kategoriami nie myślą dzieci, smarkacze? Prawie zawsze autorzy wszystkich chuligańskich wybryków uważani są za bardzo „odważnych". Jest oczywiście „bohaterem", bo podstawił nogę staruszce... Albo i inny przykład tego tam „bohaterstwa". Uciekają z lekcji, aby w zaułkach ulic, w korytarzach palić papierosy i pić wino. To nie jest moja fantazja, posługuję się przykładami, o których słyszałam w ostatnich dniach. Kiedy takim „bohaterom" zwraca się uwagę, zwykle odpowiadają: „Sam to się boisz, a nam bronisz, ty ciamajdo, maminsynku, smarkaczu!"

Ale któż tu, moi drodzy, zasługuje na miano dorosłego? Moim zdaniem ten, kto potrafi trzeźwo spojrzeć na świat i potrafi znaleźć tyle cywilnej odwagi i ambicji, że przeciwstawia się złu. To właśnie tamci „bohaterowie" są smarkaczami. Czy my, nastolatki, nie powinniśmy przyłączyć się do zwalczania tej smarkaterii wśród nas?

(rj)

ELA Z TCZEWA

BRAWO DZIEWCZĘTA!

JESTEŚMY uczennicami Liceum Medycznego Pielęgniarstwa w Przeworsku. Nasz strój szkolny, to szary fartuch, biały kołnierz i mankiety. Nic więc dziwnego, że łatwo nas poznać. Nie wstydzimy się tego, a nawet jesteśmy dumne. Staramy się nie hańbić naszego munduru. Zachowujemy się jak należy.

A mimo to, idąc ulicą, słyszymy często głupie przezwiska: „łapiduchy", „strzykawice", „siostro — basen!" itp. Śmieszy nas głupota tych młodzików, a zarazem martwi fakt, że mało kto potrafi docenić pracę pielęgniarki. Pielęgniarka ma pracę bardzo odpowiedzialną. Drobna nawet pomyłka może spowodować śmierć człowieka.

Lekarz stawia diagnozę — pielęgniarka leczy. My, jako przyszła kadra pielęgniarska, już teraz rozpoczniemy walkę o to, by zrozumiano wreszcie kim jest pielęgniarka. (bs)

Teresa Górska
Halina Korecka

Dziś i w następnych dwóch numerach ciekawy repertuar na DZIEŃ NAUCZYCIELA. (Patrz str. 6).

pierwsze tajemnice WENUS

ROZSZYFROWANE

OSTATNIE osiągnięcie kosmonautyki radzieckiej znowu zadziwiło cały świat. Aby zrozumieć, jak wielki jest to sukces, trzeba bliżej zapoznać się z trudnościami, jakie musieli pokonać uczeni radzieccy.

Wenus jest planetą położoną bliżej Słońca niż nasza Ziemia. Jej orbita, czyli droga obiegu wokół Słońca, znajduje się więc wewnątrz orbity Ziemi (patrz rysunek na str. 2), a szybkość obiegowa większa niż naszej planety. Wenusjański rok jest zatem krótszy i wynosi 225 dni. Ogólnie, im planeta znajduje się dalej od Słońca, tym jej szybkość orbitalna jest mniejsza. Stąd też ciągle zmieniają się wzajemne odległości między poszczególnymi planetami. Np. odległość Wenus od Ziemi zmienia się od 40 do 259 milionów km.

Ciąg dalszy na str. 2

MISTRZ NA MOTOCYKLU

CHCIAŁBYM przedstawić Wam sportowca wcale nie gorszego niż Andrzej Badeński, Wiesław Maniak albo Włodzimierz Lubański, a jednak nawet w ćwierci nie tak popularnego jak oni! Dlaczego? Myślę, że decyduje o tym sport, który Bogusław Urbaniak uprawia, sport motorowy.

Urbaniak, ze swoimi motorami CZ, BSA, MZ albo ESO nigdy nie występuje na bieżni, nie mieści się na ekranie telewizora. Chcąc pokazać walkę Urbaniaka na trasie trzeba by zainstalować kamery na piaszczystych wzgórzach, krętych leśnych drogach, błotnistych łąkach, na szosie, w maleńkim warsztacie pełnym przeróżnych części motocyklowych. Trzeba by dokonać zbliżenia umazanej błotem twarzy i rąk wysmarowanych oliwą. Tego nikt nie robi. Nikt też nie opisuje dokładnie zmagania motocyklisty tak precyzyjnie, jak walki bokserskiej na ringu.

Właśnie z tych powodów nazwisko Bogusława Urbaniaka miłośnikom sportu niewiele mówi, chociaż Urbaniak jest tak samo dobry jak Jan Werner, Józef Grudzień, chociaż jest motocrossowym mistrzem Polski od roku 1963, występował w wielu międzynarodowych rajdach i należał do ścisłej czołówki motocyklistów startujących w Sześciodniówce w Zakopanem.

Spotkałem się z Urbaniakiem przed kilku dniami, posłuchałem opowiadań znad kierownicy i postanowiłem przekazać je Wam. Trochę po to, byście poznali wielokrotnego mistrza Polski i sport, który uprawia.

CZŁOWIEK

WYDAWAŁOBY się, że każdy młody człowiek może siąść na ryczący motor, odkręcić rączkę gazu, włączyć bieg i wspiąć się na szczyt sławy. Pewnie, że może,

C. d. str. 2 — 3

WENUS

C. d. ze str. 1

Lot na wyprzedzenie

CIĄGŁA zmienność położenia planet w Kosmosie stwarza ogromną trudność dla nawigacji. Trzeba niezwykłej precyzji w obliczeniach, aby z ruchomej planety trafić na odległość milionów kilometrów również w ruchomą planetę. Nie można przy tym celować rakietą bezpośrednio w cel, bo gdy doleci ona na zaplanowane miejsce, cel będzie już w innym rejonie. Wiedzą dobrze o tej zasadzie myśliwi, strzelający do biegnącego zająca. Celując, trzeba dawać pewne wyprzedzenie. Podobna sytuacja jest i w nawigacji kosmicznej, z tym, że łatwiej trafić pszczołę w locie z pędzącego samochodu niż rakietą w Wenus.

Rysunek przedstawia schematycznie drogę automatycznej stacji „Wenus-4". W momencie jej wystrzelenia, czyli 12 czerwca br., Ziemia znacznie wyprzedzała Wenus. Droga lotu aparatu zaplanowana została tak, aby w momencie osiągnięcia przez niego orbity Wenus, nastąpiło spotkanie stacji z planetą. W obliczeniach wzięto również pod uwagę i to, by w chwili lądowania odległość Ziemi od Wenus była stosunkowo mała. Ułatwiło to znacznie dalekosiężną łączność radiową.

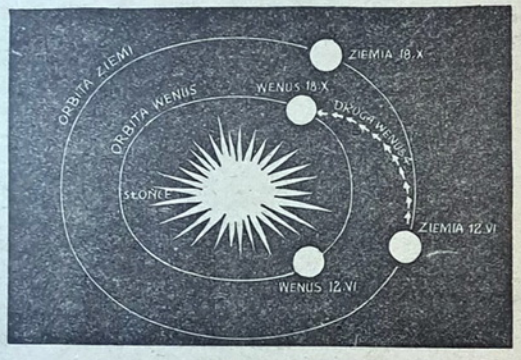

Niewiarygodna czułość urządzeń nadawczo-odbiorczych

W CZASIE ponad 4 miesiące trwającej podróży „Wenus-4" do planety Wenus, łączono się ze stacją aż 114 razy. Te radiowe „rozmowy" Ziemi z pędzącym w kierunku Białej Planety aparatem wymagały niebywale czułych urządzeń nadawczo-odbiorczych.

Czułość anteny odbiorczej w ośrodku naziemnym jest tak wielka, że może ona zarejestrować energię płonącej zapałki i to z odległości aż 300 tys. km! Cała antena składa się z 8 parabolicznych czasz o średnicy 16 metrów każda i waży 1500 ton! Tę olbrzymią machinę trzeba obracać z dokładnością maleńkiego zegarka. Błąd 1 sekundy łukowej (jedna 60 część stopnia) w ustawieniu anteny na cel, powoduje w odległości 80 mln km (w takiej odległości znajdowała się stacja w chwili lądowania) odchylenie aż 300 km! Jak już wiemy, lądowanie odbyło się bezbłędnie. Z pomocą uczonym przyszły w tym wypadku szybkoliczące maszyny matematyczne.

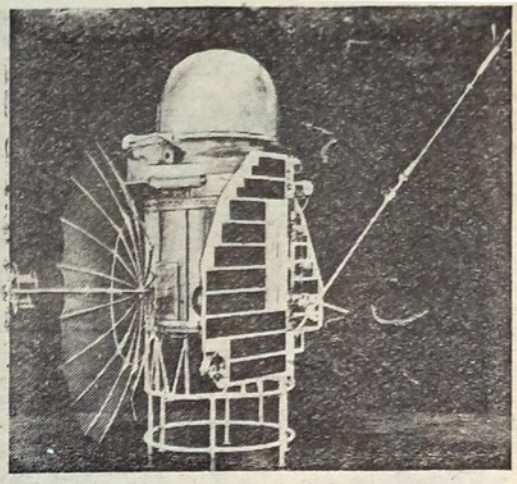

Szturm planety Wenus rozpoczął się w 1961 r. 12 lutego tegoż roku wystartowała w kierunku Białej Planety pierwsza radziecka automatyczna sonda „Wenus-1" (na zdjęciu). Ważyła ona 643,5 kg. Pierwszą sonda przeleciała obok Wenus w odległości 100 tys. km. W późniejszych latach uczeni radzieccy wysłali jeszcze dwie stacje na Wenus. Również Amerykanie szturmowali Białą Planetę swoimi „Marinerami", niestety żaden z nich nie wylądował na powierzchni Wenus. Ostatnia sonda amerykańska „Mariner 5" — na drugi dzień po wylądowaniu radzieckiej stacji „Wenus-4", przeleciała obok planety w odległości 4000 km. Jak twierdzą specjaliści, amerykańskie opóźnienia w podboju Kosmosu sięgają co najmniej 4 lat.

Sucha, gorąca pustynia, ale życie jest możliwe

UWAŻAM, że życie w formie mikroorganizmów może istnieć na Wenus — twierdzi prof. Nikołaj Krasilnikow. — Na Ziemi spotyka się mikroby odporne na temperaturę 130 st. C i ciśnienie aż 100 atmosfer! W niektórych rejonach powierzchni Wenus warunki są nawet łagodniejsze.

Inny uczony, dr Władimir Prokofiew z obserwatorium krymskiego oznajmił, że powierzchnia planety Wenus jest najwidoczniej suchą, gorącą pustynią. Wprawdzie może istnieć tam jakaś mikroflora, ale dawne, sensacyjne opowieści o niezwykle bujnej roślinności na Wenus należy włożyć między bajki. Biała Planeta okazała się bardziej niedostępna dla człowieka niż sądziło się jeszcze do niedawna.

ST. BOROWIECKI

MISTRZ NA MOTOCYKLU

C. d. ze str. 1

ale ten człowiek musi być diabelnie sprawny, silny, szybki, zwinny, musi mieć wytrzymałość długodystansowca, cierpliwość strzelca, refleks sprintera i wiedzę inżyniera mechanika.

— W tym roku na eliminacjach do motocrossowych mistrzostw świata, które odbywały się w Szczecinie, przy zeskoku z przeszkody zepsuł mi się hamulec — opowiada Urbaniak. — Na wysokości 5 metrów przeleciałem w powietrzu dwa razy większą odległość niż uzyskuje w trójskoku Józef Szmidt. Byłem bezradny. Przez mgnienie oka wydawało mi się, że po upadku więcej z ziemi nie wstanę. Zdołałem jednak zapanować nad motorem. Wylądowałem bez wstrząsów. A przecież wystarczyło, bym stracił panowanie nad nerwami, by drgnęła mi ręka i katastrofa byłaby gotowa.

... Przypominam sobie wydarzenie z zawodów na Gocławku koło Warszawy. Kiedy na jakimś wzniesieniu, wyprysnąłem do góry, zobaczyłem... że nie mam przedniego koła. Jechałem ze znaczną szybkością. Upadek groził śmiercią. Hamulcem zdarłem maszynę, tak jak ściąga się uzdą konia, by stanął na tylnych nogach i przejechałem kilkadziesiąt metrów na jednym, tylnym kole. Wyhamowałem i opadłem przednimi teleskopami na ziemię.

Jestem przekonany, że bez wszechstronnego wyszkolenia fizycznego i tego, co nazywamy żelaznymi nerwami, nie wyszedłbym z tych opresji cało. I dlatego powtarzam, że trening lekkoatlety w porównaniu z ćwiczeniami motocyklisty-rajdowca jest lekki, prosty. Chcąc dobrze jeździć muszę biegać, skakać, podnosić ciężary, rozwijać refleks i siłę.

Chyba to było na Rajdzie Tatrzańskim. Motor nie chciał zapalać. Schodziłem z siodełka i pchałem maszynę. Po ujechaniu kilkudziesięciu metrów motor znowu gasł. Schodziłem z siodełka i znowu pchałem. Po tej operacji byłem wykończony. Skapitulowałem jednak dopiero przed stromą górą, na którą motocykl sam nie chciał wjechać, a ja nie mogłem go już wepchnąć.

MASZYNA

SUKCESY w motocrossach zależą w 60 procentach od człowieka i 40 procentach od maszyny, ale te 40 procent jest bardzo ważne. Wystarczy by coś się popsuło w silniku i nawet najlepszy zawodnik nie dojedzie do mety. Dlatego po treningu, trwającym ponad dwie godziny, sportowiec zajmujący się motorami musi drugie tyle czasu przeznaczyć na konserwację maszyny.

Najpierw trzeba wymyć ropą, pod ciśnieniem, cały motocykl, a później sprawdzić ciśnienie w kołach, naciągnąć łańcuch; umocowanie szprych, linki hamulców, gazu; dokręcić wszystkie śruby. To są normalne, codzienne czynności, kiedy motor się nie psuje. Niech jednak urwie się korbowód, złamie obręcz koła, zatrze silnik, pęknie rama, to wówczas zmęczony zawodnik nieprędko wyjdzie z warsztatu. Można, oczywiście, oddać motor do naprawy mechanikowi, ale każdy szanujący się sportowiec nie opuści maszyny,

Jak wyprostować

KRZYWĄ WIEŻĘ W PIZIE

JEST TO CHYBA jedna z najsłynniejszych budowli świata. Popularność swą zawdzięcza nie tyle pięknu swej sylwetki, ile wyraźną tendencją ku jej upadkowi. Krzywa wieża w Pizie jest dzwonnicą katedry pizeńskiej. Budowę jej rozpoczęto (wraz z całą katedrą) w roku 1063, a zakończono dopiero po 207 latach. Wieża ma kształt okrągły i składa się z 8 kondygnacji. Wysokość 55 metrów. Początkowo oczywiście wieża była prosta, dopiero w późniejszych latach na skutek podziemnych prądów wodnych i wstrząsów sejsmicznych, zaczęła się pochylać w prawo. Dziś odchylenie od pionu wynosi aż 2 metry i 26 cm!

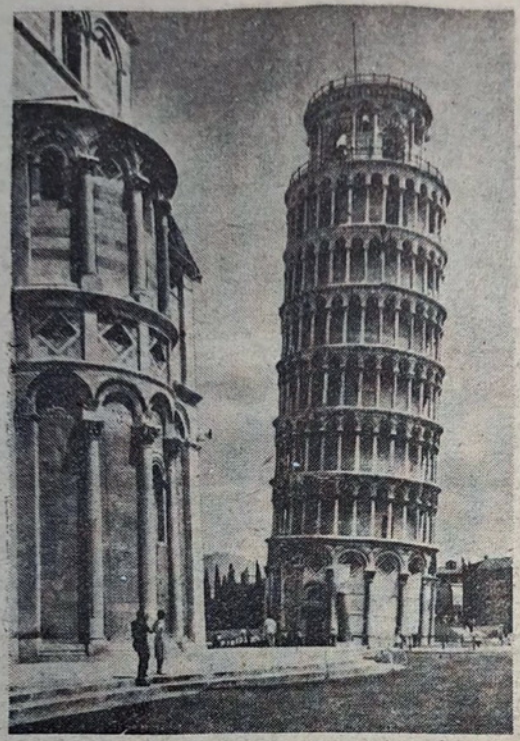

Niebezpieczne pochylanie się wspaniałego zabytku nie martwi zbytnio ojców miasta Pizy. Okazuje się, że im bardziej wieża odchyla się od pionu, tym wyraźniej rosną wpływy w miejskiej kasie płynące z ruchu turystycznego. Jednakże chodzi również i o to, by wieża nie pochyliła się ostatecznie i nie znalazła w gruzach. Burmistrz Pizy wystąpił więc z dramatycznym apelem o uratowanie zabytku, gdyż lada wstrząs podziemny może obalić te 145.000 ton kamieni układanych piętro za piętrem przez całe pokolenia.

Apel nie pozostał bez echa. Pewien francuski producent urządzeń elektrycznych zaproponował zainstalowanie przemyślnego systemu alarmowego, który w wypadku wstrząsów podziemnych ostrzegałby donośnym sygnałem, że czas już ewakuować okolicę, bo wieża ostatecznie traci równowagę. Pomysł ten uzupełnił mały chłopczyk — Włoch, który podczas stawiania piaskowych babek wpadł na myśl podsypania z zagrożonej strony wieży tak dużej góry piasku, by zabytek w chwili runięcia nie rozsypał się w szczątki.

Takie rozwiązanie nie jest żadnym rozwiązaniem — orzekli mieszkańcy Pizy. Odrzucili oni także propozycję jednej z gazet niemieckich, aby wieżę rozebrać i w ten sposób pozbyć się kłopotliwego problemu. Niemcy argumentowali, że zawsze pozostanie jeszcze mniej znana wieża w Stassfurcie, koło Magdeburga. Niewątpliwie w takim wypadku skorzystałaby i Polska, mogąc zareklamować krzywy dom w Toruniu i pochyloną ze starości dzwonnicę w Ząbkowicach Śląskich.

Inną odmianą pomysłu niemieckiego była propozycja francuska — rozebranie wieży i postawienie jej od nowa na innym, bardziej pewnym gruncie. Można by też skorzystać z doświadczeń amerykańskich milionerów, którzy przewozili do Stanów całe szkockie zamki, łącznie z „zamieszkującymi je duchami".

Pewien dziennikarz bawiący przejazdem w Pizie gotów był przy pomocy swego samochodu i odpowiednio długich lin sprowadzić wieżę do pionowego położenia. Samochód okazał się jednak za słaby. Inny wynalazca belgijski — kolejarz, zaproponował podłączenie w tym celu dwu lokomotyw.

Pomysł amerykańskiego pilota RAF-u z Anglii wydawał się być niemal idealny, gdyż pozostawiał wieżę na tym samym miejscu i w jej obecnym stanie. Proponował on umieszczenie na szczycie balonu zaporowego, który ciągnąłby wieżę w górę, przez co uniemożliwiłby jej dalsze przechylanie się.

Wszystkie powyższe pomysły ratowania krzywej wieży nie warte są oczywiście złamanego szeląga.

Natomiast pomysł, który mógłby rzeczywiście zabezpieczyć zabytek przed katastrofą, polegał na zamrożeniu ziemi, na której stoi wieża. Jej dolne partie zostałyby w ten sposób unieruchomione, a wieża zostałaby w dotychczasowym położeniu. Cóż bowiem znaczyłaby Piza bez krzywej wieży? Niestety, i ten pomysł nie został zrealizowany, gdyż okazał się zbyt kosztowny. A wieża tymczasem chyli się coraz bardziej ku ziemi. I jeśli środek ciężkości całej budowli przesunie się na zewnątrz jej podstawy — wieża runie.

A może i wy zabawicie się w wymyślanie ciekawych projektów „prostowania" krzywej wieży?

(bor).

---

zanim nie będzie gotowa do następnego treningu. Przy naprawie poznaje ją też najlepiej.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że na trasie stawiającej przed człowiekiem i maszyną najcięższe zadania, kiedy coś się popsuje, z pomocą nie przyjdzie mechanik. Wszystko trzeba zrobić samemu. Chyba na Sześciodniówce, w roku 1966, w Szwecji, motor mi nagle zgasł. Brak dopływu paliwa? Zła świeca? Zacząłem sprawdzać. Świeca była w porządku. A więc paliwo. W baku zapchał się przewód. Jak go oczyścić, kiedy zbiornik jest pełen benzyny? Trzymając jedną ręką za rurkę, żeby benzyna nie wypłynęła, bo wtedy w ogóle nie dojadę do mety, drugą ręką skrobałem i czyściłem. Byłem zdenerwowany, spocony, czas upływał. Po 7 minutach gnałem po trasie. Na metę wpadłem z 3-sekundowym spóźnieniem. To 3 sekundy sprawiły, że zamiast złotego medalu otrzymałem srebrny. Gdybym nie wiedział, jak zabrać się do naprawienia uszkodzenia, musiałbym się wycofać z całej imprezy.

Jeszcze jedno spotkanie z maszyną. Miałem je na szosie w Rajdzie Tatrzańskim. Naciskając nogą na pedał zmiany biegów stwierdziłem, że go nie ma. Co robić? Usiąść i płakać?! Bez zmieniania biegów daleko nie ujadę. Wyciągnąłem kombinerki i w pełnym pędzie, ręką zamiast nogą, zmieniałem biegi. Jechałem tak przez 150 kilometrów. Od ciągłego dotykania palcami do rury wydechowej miałem poparzoną skórę. Z walki mimo to nie zrezygnowałem...

TRASA

PODOBNYCH HISTORII mógłbym opowiedzieć więcej. Zdarzają się w każdym rajdzie, każdym motocrossie. Maszyna czasami gorzej od człowieka znosi trudy jazdy terenowej. Trzeba bowiem wiedzieć, że ambicją wszystkich organizatorów pojedynków motocyklowych jest wybieranie tras trudnych, prawie karkołomnych, teoretycznie nie do przebycia. Trasy rajdów wiodą więc przez piaski, bagna, ostre wzniesienia, na których maszyna rzęzi a człowiek wypruwa z siebie żyły, by dobrnąć do mety.

Lubię jednak sport motorowy, lubię startować z jednej linii razem z trzydziestką innych motocyklistów, lubię jechać łokieć w łokieć, w twardym pojedynku z innym zwariowanym motocyklistą, lubię rajd pełen zaskakujących niespodzianek, nieoczekiwanych zakrętów, przeszkód, bramek, które trzeba wziąć w pełnym biegu.

Pierwszy raz dosiadłem motocykla, kiedy miałem 7 lat. Sztuki prowadzenia tego pojazdu nauczył mnie ojciec, niegdyś znany motocyklista. W zawodach jeżdżę od 1959 roku. Nie pisano o mnie zbyt wiele, ale wcale się tym nie martwię. Wiem dobrze, że sport, który uprawiam, jest piękny.

Zapraszam was na zawody. Przyjdźcie, a przekonacie się, co potrafi wyczyniać człowiek z maszyną nie na lśniącej szosie, a na bezdrożach, po których i piechotą przejść jest niełatwo. 28 i 29 października będę startował w zawodach motocrossowych na Bielanach pod Warszawą.

Jeszcze jedna informacja o tym, co to jest rajd i motocross. Rajd np. Tatrzański albo Sześciodniówka składa się z jazdy w terenie i krótkich odcinkach po szosie. Trwa trzy, albo sześć dni. Każdy zawodnik, który ukończy rajd bez punktów karnych, otrzymuje złoty medal.

Motocross składa się z jazdy terenowej po wyznaczonej trasie, na której ustawiono liczne przeszkody. Tę trasę pokonuje się najczęściej dwukrotnie.

Ja jeżdżę na różnych maszynach, np. CZ, BSA, MZ, ESO. Są to motory produkcji czechosłowackiej, niemieckiej i angielskiej. Reprezentuję barwy warszawskiej Legii.

*

Bogusław Urbaniak nie skończył na tym opowieści o motorach, rajdach i swoich wyczynach. Mówił jeszcze o technice jazdy, tajnikach walki, sposobach pokonywania przeszkód, o tym jak należy przecinać piasek, wydobywać maszynę z błota. Niestety muszę już przerwać. Nie chcę Was zanudzać tysiącem szczegółików. Przyrzekam jednak, że przy najbliższej okazji opiszę dokładnie jeden trudny motocross Bogusława Urbaniaka.

WITOLD DUŃSKI
Foto: M. Świderski i CAF

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

WIRÓWKA

Dookoła cyfr wpiszcie wyrazy, których znaczenie podajemy: 1 — roślina używana jako jarzyna; 2 — elastyczny łuk mający za zadanie paraliżowanie wstrząsów; 3 — plac kolisty, brzeg kapelusza; 4 — harcerz powiedział hasło, a usłyszał ....; 5 — tytuł dostojników w Turcji; 6 — koń rasy rosyjskiej, kłusak; 7 — korsarz; 8 — okręg, dzielnica; 9 — prawe, skanalizowane ramię delty Wisły; 10 — stado koni; 11 — może pracować pod wodą; 12 — skrzynia żelazna bez dna do prac podwodnych; 13 — wpisujesz do niego adresy.

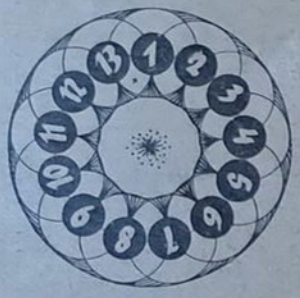

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej lub kopercie: „Spróbuj rozwiązać". Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 76

POZIOMO: rodak, molo, suma, Antek, tri, fez, ogier, alga, rafa, rampa.

PIONOWO: Wda, rola, kruk, morwa, Onega, seter, Atena, ogar, rasa, ćma.

Nagrody książkowe wylosowali: **Jolanta Bednarska** — Tomaszów Maz.; **Lidia Gościcka** — Warszawa, **Aleksandra Jastrzębska** — Wrocław-Oporów; **Irena Janus** — Zwrócona 99; **Jan Kadłuczka** — Kraków; **Anna Kopeć** — Piechowice; **Jan Roslan** — Orzysz; **Adam Sarna** — Moczydło 113; **Jerzy Szmigiel** — Białystok; **Tadeusz Wiwatowski** — Warszawa.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 77

POZIOMO: Reks, ssak, Rodan, kieł, Wola, anta, Apis, Duma, ptak, oset, arka, tarka, abak, Andy.

PIONOWO: ręka, kret, Sola, Sawa, snop, kwas, Indus, lizak, dola, meta, atak, paka, tran, kary.

Nagrody książkowe wylosowali: **Henryk Jeznach** — Inowrocław; **Małgorzata Jedynak** — Warszawa 42; **Marek Kubak** — Bielsk Podlaski; **Wanda Krzyżanek** — Ustroń-Goje 69; **Ewa Pieczonka** — Łódź; **Elżbieta Przedwojska** — Poznań; **Zbigniew Pysz** — Bielsko Biała; **Jan Seyrlhuber** — Kraków; **Grażyna Sekula** — Krzczonów; **Jacek Sikora** — Rabka-Zdrój.

„AURORA" ulokowana na dwóch wózkach opuszcza macierzystą stocznię. Okręt jest ciężki i waży chyba 200 kilogramów.

STOCZNIA na podwórku

STOCZNIA znajduje się na niewielkim podwórzu w starej szopie otoczonej ze wszystkich stron kilkupiętrowymi domami, czarnymi od pyłu, jak w każdym mieście na Śląsku. Szopa służyła niegdyś murarzom za skład narzędzi. Pan Grabowiecki porozmawiał z majstrem murarskim Kałą, który z kolei napisał pismo, zaniósł gdzie trzeba, i szopa została. Natychmiast po wyprowadzeniu się murarzy pan Grabowiecki objął szopę w swoje posiadanie i obwieścił okolicznej dzieciarni, że będzie tutaj produkowany okręt wojenny „Gryf", 6-metrowej długości, zgodnie ze zdobytymi planami i otrzymanymi od wojska fotografiami.

ORP „Gryf" dobrze trzyma się wody

TO BYŁ pierwszy okręt. Nie byłem pewien, czy się uda — mówi mi pan Grabowiecki. — Nie jestem przecież specjalistą od modelarstwa. Owszem, coś tam kiedyś dłubałem, ale dopiero od przejścia na emeryturę zająłem się tym poważnie. Chłopców chętnych do pomocy znalazło się wielu. Początkowo nie wierzono, że z tej rozlatującej się szopy, którą nazwaliśmy stocznią, może wyjść na światło dzienne coś, co będzie choćby przypominać okręt. Ale po kilku miesiącach pracy, kiedy zaczęliśmy wyciągać kadłub „ORP Gryf" na podwórko i malować go, we wszystkich oknach pojawili się ciekawscy. Praca szła — jak na początek — dość sprawnie. Uczyliśmy się przy niej wszyscy — ja, bo mogłem sprawdzić praktycznie pewne obliczenia, a chłopcy... chłopcom imponowała ta robota i przesiadywali tu nawet wtedy, kiedy w stoczni mnie nie było. To był również ich pierwszy kontakt z modelarstwem.

Wodowanie okrętu odbyło się 8 sierpnia ubiegłego roku, na stawach przy stadionie. Tłum ciekawskich — dzieci i dorosłych — ustawił się wzdłuż brzegu. Siąpił drobny deszcz. Spuściliśmy „Gryfa" na wodę. Bałem się, że obliczenia były złe, że okręt przewróci się, albo że będzie się kiwał. Nic takiego. Siedział na wodzie, jak należy. Gdy umilkły wiwaty, w kabinie „Gryfa" zasiadł jeden pasażer — chłopak, który najwięcej pracował przy jego budowie. Kabinę przygotowaliśmy po to, żeby chłopcy mogli sobie troszeczkę popływać. Dla przyjemności, po kilkumiesięcznych trudach, „ORP-Gryf" był naszym pierwszym okrętem i pierwszym sukcesem stoczni.

Działa okrętu „Aurora"

KILKANAŚCIE dni po udanym wodowaniu „Gryfa" pan Grabowiecki rozłożył na podwórku wielkie arkusze papieru.

— To są plany „Aurory" — oznajmił chłopcom. — Powinniśmy ją skończyć za 10 miesięcy. Mamy większe doświadczenie, ale i praca jest trudniejsza.

Robota ruszyła. „Starzy" stoczniowcy przyciągnęli do pracy kilku swoich kolegów. Podzielono zadania. Mieszkańcy domu przywykli do stoczni i nie tylko patrzyli z wysokości okien przyjaznym okiem, ale nawet przychodzili pomagać, pilnowali rozłożonych na podwórku, schnących po malowaniu, części kadłuba. Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Wyznaczone terminy kolejnych etapów budowy były dotrzymywane i oto przy końcu września pan Grabowiecki przyjechał do naszej redakcji z zaproszeniem na uroczystość wodowania.

Byłem w stoczni w czasie ostatnich kosmetycznych prac. Sześciometrowy kadłub „Aurory" spoczywał na dwóch wózkach. Chłopcy przybijali nadbudówki, trapy, lokowali szalupy ratunkowe. Przychodzili gapie. Kilku nowych chłopców chciało — jeszcze w tej chwili przyłączyć się do budowy „Aurory", ale pan Grabowiecki nie zgodził się.

— Poczekajcie, za miesiąc zaczniemy budowę łodzi podwodnej i czołgu. Wtedy możecie przyjść.

1 października o godzinie dziesiątej rano „Aurora" została wodowana. Z umieszczonego na pokładzie niewielkiego działka (na proch) padła honorowa salwa, z

trzech blaszanych kominów strzelił w górę dym (z dymnej świecy). Zgodnie z przyjętym zwyczajem jeden z chłopców odbywa pierwszy rejs po stawie. Później kilku następnych. Zbiorniki z powietrzem utrzymują okręt na powierzchni i pozwalają na zabranie pasażera. Na dworze jest chłodno. Wracamy do stoczni odprowadzeni przez gromadę dzieci. „Niech pan nas zapisze do swojej stoczni" — mówią dwaj chłopcy. — „Czy może pan przyjąć mego Staszka" — prosi starszy pan w imieniu syna. Pan Grabowiecki zgadza się. Tylko teraz spieszy do domu, bo ma zupełnie mokre nogi.

— Jestem harcerzem. Podharcmistrzem. Często bywam w Komendzie Hufca, mimo że po przejściu na emeryturę nie jestem już instruktorem.

— Pochodzi pan z Sosnowca?

— Tak, tutaj się urodziłem, tutaj mając 14 lat zacząłem pracować w kopalni. Nasza rodzina była duża. Może to wstyd się przyznać, ale maturę zrobiłem niedawno, w 1959 roku. Miałem wtedy 56 lat. Zapisałem się jeszcze na Studium Nauczycielskie i skończyłem naukę w 1964 roku. Szkoda tylko, że w rok później poszedłem już na emeryturę. Ale dopiero teraz mam czas, żeby tak naprawdę popracować z dziećmi. Kilka godzin dziennie siedzę w stoczni, czasami tutaj — w mieszkaniu. Gram na skrzypcach, znajomy gra na gitarze, uczę się też francuskiego. Chciałbym odwiedzić rodzinę, która mieszka we

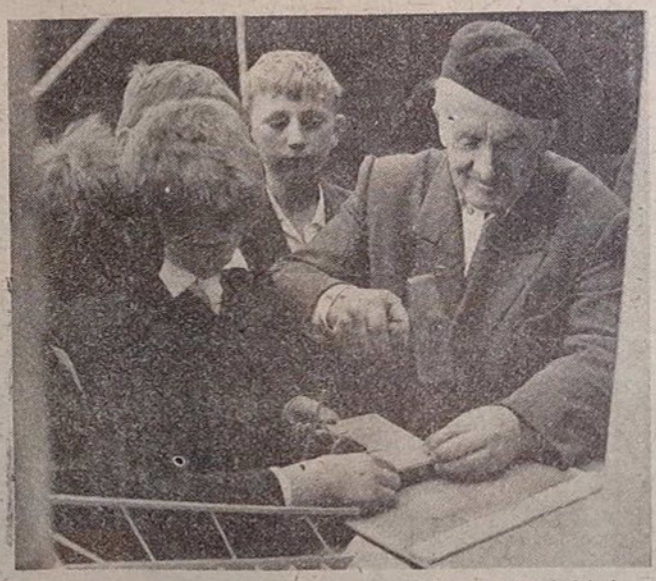

Pan Grabowiecki — emerytowany nauczyciel — przyjaciel dzieci.

Szalupy ratunkowe i gitara

WIELKI POKÓJ zastawiony książkami. Na ścianach wiszą rysunki techniczne, wzory chemiczne, modele statków, skrzypce, gitara. Pośrodku stoi stół, na nim narzędzia. W kącie jeden z kominów „Aurory" (w mieszkaniu wygląda gigantycznie). Pijemy herbatę, rozmawiamy o stoczni.

— Skąd bierzecie pieniądze — pytam — przecież taki okręt pochłania sporo.

— Zawsze znajdą się jacyś ludzie, którzy pomogą. Mówiłem już panu o sąsiadach. Pomaga nam też prezes Ligi Obrony Kraju, Państwowa Spółdzielnia Spożywców, harcerstwo.

— Był pan może harcerzem?

Francji. Nie wypada jechać nie znając ani słowa, po francusku.

Na stoliku pod oknem stoi kilkanaście papierowych szalup ratunkowych, które umieszcza się na okręcie. Obok nich gipsowa forma, którą okleja się papierem, żeby powstała szalupa.

— To jest wstępna praca kandydatów do stoczni. Ja zrobiłem formę, oni oklejają i malują szalupy.

— A kiedy planujecie ukończenie łodzi podwodnej?

— „Nautilus" powinien być gotowy na 1 maja. Chcemy, żeby w jego kabinie były trzy miejsca dla załogi. Na razie rozpoczniemy pracę od czytania dziejów polskich okrętów wojennych, np. historii „Orła"... Za miesiąc przystąpimy do nowej budowy.

WIESŁAW HUDON
Zdjęcia autora

Zdarzyło się JESIENIĄ

NA DWORZE jesienna szaruga. Siedzę w pokoju i zastanawiam się dokąd pójść, co robić? Lekcje już odrobiłam. Książka także przeczytana, a biblioteka nieczynna.

A może by tak zajrzeć do Anki? Idę! Szybko wkładam płaszcz i kalosze. Zbiegam na dół i od razu robi mi się weselej. Nucę ulubioną melodię.

Po paru minutach znajduję się pod drzwiami Anki. Dzwonię. Ktoś otwiera drzwi. Buchnął gwar głosów przeplatanych śmiechem. Wchodzę do pokoju, a tam... O rety! Cała nasza paczka w komplecie. Mówią, że czekają na mnie już przeszło 20 minut. Andrzej tłumaczy mi, że dzwonili do mnie.

Widzę, że na biurku stoi adapter i leży stos płyt.

— Wiecie, co? Puśćmy płyty, możemy trochę posłuchać i potańczyć — proponuję.

— Dobrze! — krzyczą.

Zakładam szybko płytę i siadam obok Anki. Rozlega się melodia. Wszyscy milkną, słuchamy. Potem Marek puszcza coś szybkiego. Tańczymy. Ach, jak to kapitalnie tak szybko tańczyć. Cały pokój wiruje mi przed oczami.

Melodia się kończy, Marek dziękuje. Podchodzimy do Anki. Siedzi sama, wtulona w kąt.

— Dlaczego jesteś taka smutna? — pytam ją.

Ania po chwili mówi: — Wiesz, moja mama poszła na operację i boję się bardzo. Zostałam sama z Beatką...

Patrzę na nią przez chwilę. A potem wstaję i wyłączam adapter. Podniosły się protesty — Maja, co robisz?

— Słuchajcie — mówię. — Mama Ani jest w szpitalu. Ania została sama z młodszą siostrą...

Nie dają mi skończyć...

— Oczywiście! Pomożemy! — krzyczą.

Andrzej mówi: — Musimy ustalić dyżury. A w niedzielę przyjdziemy wszyscy.

Podchodzimy do Ani. Nie wie, jak nam dziękować, a przecież to prosta sprawa. Pocieszamy ją, jak umiemy — nie martw się, wszystko ułoży się dobrze. Patrzę na zegarek, już po 19.00, za pół godziny mam być w domu. Żegnam się ze wszystkimi. Wychodzę z Jolą i Markiem. Krzyczymy jeszcze ze schodów:

— Cześć, Anka!

Na rogu rozstajemy się. Wracam do domu i myślę: „Jak dobrze, że poszłam do Ani. Było tak wesoło; żal mi tylko Ani". Mama przynosi kolację.

— Wiesz — mówi do mnie — dzwoniła do ciebie Ania, zapomniałam ci powiedzieć...

— Wiem, mamusiu, wiem! — wstaję i całuję mamę w policzek.

MAJA Z KRAKOWA

Rys. M. Kościelniak

Wola i śpiewa szkoła cała: Nauczycielom - cześć i chwała!

Dziś rozpoczynamy druk pierwszej części materiałów repertuarowych na DZIEŃ NAUCZYCIELA. Materiały te nadają się do wykorzystania tylko jako całość, pamiętajcie więc o zaopatrzenie się w następne dwa kolejne numery naszej gazety.

NAPISALI: WANDA CHOTOMSKA I WACŁAW BISKO

OD DAWNA otrzymujemy wiele listów z takimi zamówieniami: „Chcemy uczcić Dzień Nauczyciela — pomóżcie". „Prosimy o repertuar na Święto Nauczyciela"; „Napiszcie coś dla naszych Profesorów, ale koniecznie coś ładnego, bo bardzo Ich lubimy".

Ponieważ my także bardzo lubimy i naszych, i Waszych Nauczycieli, staraliśmy się najładniej, jak umiemy, podziękować Im za Ich piękną pracę. Przekazujemy więc Wam ten oto projekt uczczenia najmilszego święta szkoły.

Niezależnie od tego, że 20 listopada odbędą się w wielu szkołach ogólne akademie, poświęcone nauczycielom, uważamy, że można ten dzień świętować również w każdej klasie i uczcić z osobna nauczyciela każdego przedmiotu, a zwłaszcza wychowawcę klasy. Do tego celu mogą Wam posłużyć zamieszczone niżej inscenizacje.

By uniknąć powtarzania tych samych życzeń tym samym nauczycielom w różnych klasach, proponujemy, żeby samorząd szkolny wspólnie z drużyną harcerską uzgodnili z sekretariatem szkoły co najmniej na tydzień przed świętem, który nauczyciel i w której klasie będzie miał SWOJĄ pierwszą lekcję w Dniu Nauczyciela i odpowiednio przydzielili program poszczególnym klasom.

Jeżeli na przykład nauczyciel historii zacznie w szkole pracę na czwartej lekcji w siódmej klasie, to właśnie ta klasa urządzi mu wtedy owację. Jeżeli akurat ten nauczyciel jest wychowawcą tej klasy, to niezależnie od „programu historycznego" klasa wykona program dla wychowawcy.

Może się zdarzyć, że któryś z nauczycieli nie będzie miał tego dnia lekcji w szkole. Należy wówczas uroczystość przeznaczoną dla niego przewidzieć na najbliższe spotkanie z nim po 20 listopada.

Koniecznie należy pamiętać o nauczycielach chorych i złożyć im w dniu Święta wizytę z odpowiednim programem, albo choćby tylko z kwiatami. Do nauczycieli przebywających w szpitalach i sanatoriach należy napisać serdeczne listy, ale na kilka dni przed Świętem, żeby doszły na czas.

Podane niżej inscenizacje można również połączyć w jedną całość i urozmaicić w ten sposób ogólnoszkolną akademię. Zamieszczamy te inscenizacje w trzech kolejnych numerach „Świata Młodych" i w takiej kolejności, w jakiej występują nazwy przedmiotów na świadectwie szkolnym, ale układ ten można dowolnie zmienić.

Zam. 1433. T-43

Ananasy z naszej klasy

(DLA WYCHOWAWCY)

(Kiedy wychowawca wchodzi do klasy, wita go przy drzwiach gospodarz klasy następującym przemówieniem).

GOSPODARZ KLASY: W imieniu całej klasy mam zaszczyt złożyć Pani (Panu) najserdeczniejsze życzenia z okazji Dnia Nauczyciela i w zastępstwie Pani (Pana) rozpocząć tę lekcję. Proszę o zajęcie miejsca.

(Kiedy Wychowawca usiądzie za stolikiem, na którym stoi pusty flakon z wodą, podchodzi do niego GOSPODARZ KLASY z jednym kwiatkiem w ręku, a za nim ustawia się w kolejce siedmioro umiejących śpiewać SOLISTÓW i SOLISTEK — każde też z jednym kwiatkiem — i śpiewają swoje kwestie na melodię canta piosenki „Biedroneczki", wręczając przy tym kwiatek Wychowawcy).

GOSPODARZ: Ktoś wyjął z kieszeni scyzoryk...

SOLISTA I: ... i wzory na ławce nim pisze.

SOLISTA II: Ktoś inny rzekomo był chory...

SOLISTA III: ... i wczoraj do szkoły nie przyszedł.

SOLISTA IV: Ktoś stopień przerobił w dzienniku.

SOLISTA V: Ktoś lekcji nie zrobił w zeszycie.

SOLISTA VI: Ktoś przyniósł chrabąszcze w piórniku...

SOLISTA VII. Nikomu nie nudzi się życie!

(Cała klasa wstaje, każdy ma w ręku jeden kwiatek. Wszyscy śpiewają na melodię refrenu piosenki „Biedroneczki").

WSZYSCY:

Ananasy z naszej klasy
sto pomysłów mają,
ale dzisiaj za niektóre
bardzo przepraszają:
za kłopoty i za psoty,
i za ściągawki w ławce...
Choć niejeden z drogi zboczył
i był zmartwienia sprawcą,
każdy choćby w ogień skoczy
za swoim wychowawcą!

(Wszyscy podchodzą rzędami do stolika, każdy kłania się Wychowawcy, wkłada swój kwiatek do flakonu i wraca na swoje miejsce).

Mowo nasza oj...czysta

(DLA NAUCZYCIELA JĘZYKA POLSKIEGO)

(Gospodarz klasy wręczając wchodzącemu nauczycielowi wiązankę kwiatów wita go takimi samymi słowami jak gospodarz „Ananasów", a kiedy nauczyciel usiądzie, gospodarz wzywa do tablicy dwoje uczniów, tak jak by był nauczycielem. Na przykład: „Malinowska i Kowalski — do tablicy". UCZEŃ staje przy tablicy i bierze kredę do ręki, a UCZENNICA, kłaniając się nauczycielowi, deklamuje).

UCZENNICA:

Mowo nasza ojczysta, ty jesteś
jak zdrowie!
Ile cię cenić trzeba, ten tylko się
dowie,
kto zabłądził w klasówek
przepastne krainy,
aż do samego środka, do jądra
gęstwiny,
gdzie w gramatyczne głusze, w
chaszcze ortografii
tak się biedak zaplątał, że
wyjść nie potrafi.

(W czasie kiedy UCZENNICA wymawia słowa: „trzeba", „klasówek", „chaszcze", UCZEŃ pisze te słowa na tablicy nieortograficznie: „tszeba" „klasuwek", „haszcze". GOSPODARZ poprawia błędy na tablicy, a następnie mówi do klasy).

GOSPODARZ:

Przyszłoby zginąć marnie w
owych matecznikach,
ale my nie zginiemy! Mamy
przewodnika...

(Wskazuje na nauczyciela).

...co nie żałując trudu, nie
szczędząc mitręgi,
toruje prostą drogę przez ojczyste
księgi!

UCZEŃ:

Klaso, powstań i skłoń się, i
bezbłędnie powiedz:
Niech żyje nasz przewodnik po
ojczystej mowie!

(Wszyscy wstają, kłaniają się i powtarzają chórem okrzyk: „Niech żyje nasz przewodnik po ojczystej mowie!").

Polacy nie gęsi — obcy język znają

(DLA NAUCZYCIELI JĘZYKÓW OBCYCH).

Zanim nauczyciel wejdzie do klasy, trzeba ładnie napisać na tablicy życzenia w tym języku, którego uczy. Na przykład:

- *Мы желаем Вам всего хорошего*
- *Die ganze Klasse wünscht Ihnen alles beste*
- *Meilleurs Voeux de la classe entière*
- *The best wishes from our class*

(W drzwiach wita nauczyciela gospodarz klasy, podobnie jak to było z nauczycielem języka polskiego, a kiedy nauczyciel usiądzie, gospodarz mówi do klasy).

GOSPODARZ:

Mawiał imć Rey z Nagłowic i
wszyscy to znają,
iż Polacy nie gęsi, bo swój język
mają.
Własny język to mało. Wiadomo
młodzieży,
że i obce języki poznawać należy.

(Zwraca się do nauczyciela)

I choć czasem się dwójki sypią
na klasówkach,
choć niełatwo do głowy wchodzą
wszystkie słówka,
dzięki Pani (Panu) niejeden
problem stał się jasny
i wkrótce język obcy poznamy
jak własny.

(Zwraca się do klasy).

A teraz cała klasa wstaje do
okrzyku
i wygłasza życzenia w poznanym
języku!

(Klasa wstaje i skanduje głośno życzenia wypisane na tablicy. Uwaga: GOSPODARZ słowo „poznanym" może zastąpić odpowiednio do okoliczności słowem „rosyjskim", „niemieckim", „francuskim", „angielskim").

Są w historii ważne daty

(DLA NAUCZYCIELA HISTORII)

Przed lekcją należy napisać na środku tablicy w ramce dużymi literami: „20.XI.1967 — DZIEŃ NAUCZYCIELA", a dookoła powpisywać w różnych kierunkach na całej tablicy ważne daty historyczne, np. „1410 — Grunwald", „1569 — Unia Lubelska", „1863 — Powstanie Styczniowe" itp. Wchodzącego nauczyciela witają z kwiatami UCZEŃ i UCZENNICA, mówiąc razem podobne słowa powitania, jak w poprzednich programach. Kiedy nauczyciel usiądzie, śpiewają kolejno na melodię canta piosenki „Serce w plecaku", zaczynającego się od słów: „Żołnierz drogą maszerował".

UCZENNICA:

(wskazując na tablicę)

Są w historii ważne daty,
nikt ich wagi nie umniejsza,
o dzisiejszej mówią kwiaty,
że to data najważniejsza.

UCZEŃ:

(wskazując na datę w ramce)

Długosz o niej nie wspominał
i nie pisał Gall Anonim,
ale przecież jest przyczyna,
żeby wpisać ją do kronik.

(Klasa wstaje i śpiewa na melodię refrenu łączynającego się od słów: „Tę piosenkę, tę jedyną...").

KLASA:

Wiemy, kogo bił Jagiełło,
wiemy, kiedy był Sejm Niemy,
wiemy też, skąd to się wzięło,
że o wiele więcej wiemy.
Dla nas sprawa to niemała...
Proszę się nie dziwić kwiatom...
Przeszłość bliższa nam się stała —
dziękujemy Pani (Panu) za to!

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

OBCA PLANETA

(2)

A. WALENTYNOW
Tłum. Lech Błażejewski

PRZEZ TEN CZAS, kiedy Michał obwieszał się kamerami i wstawiał taśmy do magnetofonów, dałem polecenie rakiecie podejścia na bezpośredni styk ze statkiem. „Kodeks Praw Kosmosu" zabrania załodze jednoczesnego opuszczania statku. Jeden z nas musiał pozostać. Samo przez się było zrozumiałe, że będę nim ja.

— Gotowe! — zawołał lekko zdyszany Michał. I w tym momencie twarz wykrzywiło mu przerażenie. Instynktownie pochyliłem się, bo niczym cios maczugi spadł na nas ryk syren, a statek drgnął. Michał machnął nieporadnie rękami, podskoczył, a podeszwy jego butów opisały równiutki łuk. Później lakierowany bok pulpitu sterowniczego skoczył raptownie w moją stronę. W oczach zaplonęły mi gwiazdy i straciłem przytomność.

Ocknąłem się z zimna. Lodowate igiełki ostro kłuły w policzki. Otwarłem oczy i w mętnawym świetle z trudem rozróżniłem coś cielistego i bezkształtnego. Dopiero po paru sekundach, gdy kształty te nabrały ostrości, zrozumiałem, że to Michał. Jedną ręką ocierał krew, a drugą polewał mnie wodą sodową z syfonu.

— Wszystko w porządku! — rzekł uspokajająco. — Najzwyklejszy meteoryt. Wszystko przeszło gładko, jeśli nie brać pod uwagę naszych guzów.

Spokojnie przymknąłem oczy, gdy nagła myśl postawiła mnie na równe nogi.

— Przecież radary powinny dostrzec meteoryt w odległości stu tysięcy kilometrów, a z takiej odległości można się wykręcić zupełnie płynnie. Więc nawalił system sygnalizacyjny!?

— Uspokój się wreszcie, wszystko w porządku. Po prostu rakieta przysłoniła meteoryt — przerwał mi Michał.

Uścisnąwszy mnie za ramię, Michał wbiegł do komory przejściowej, a stalowe drzwi płynnie zatrzasnęły się za nim. Teraz należał już do innego świata. Wyobrażałem sobie szczegółowo, jak otwiera się zewnętrzna śluza, jak Michał odpycha się od statku i płynie ku rakiecie, jak wchodzi do środka i siada na fotelu pilota...

Drgnąłem na ostry dzwonek. Nad wewnętrzną śluzą zamigotała lampka. Michał wracał! Po co?

Machinalnie sprawdziłem, czy mam skafander w porządku, podbiegłem do drzwi. W głębi słabo oświetlonej komory niezgrabnie oparty o ścianę stał Michał. Twarz miał jak maskę z gipsu.

— Wszystko przepadło — wykrztusił głucho. Nie panując już nad sobą, szarpnąłem dźwignię zewnętrznej śluzy i, chwyciwszy odruchowo pas ochronny, wyskoczyłem w kosmos.

Wydało mi się, że skoczyłem w roztopiony metal. Gwiazda wyżłobiła geste fale światła. Nawet przez skafander czułem ich sprężyste tchnienie. Planeta skrzyła się wiosenną zielenią, niczym perła. Odsunęła się teraz w górę i gdzieś w bok, ale było to tylko złudzenie optyczne. Po prostu koziołkowałem przez głowę i wkrótce w polu widzenia miałem statek. Niemal nie krzyknąłem ze zgrozy. Cała rufa statku była zniekształcona, poszarpana, jakby przez czyjeś wściekłe pazury. A dalej — nieforemny kawał metalu — wszystko, co pozostało z naszej rakiety. Tak więc: rakieta zniszczona, a my mamy uszkodzone dwie boczne dysze służące do lądowania. Statek teraz nigdy już nie wyląduje. Będzie koziołkował, jak te resztki oddalającej się rakiety.

Nie pozostało nic innego, jak wracać na Ziemię. Szczęście, że silnik centralny cały. Zaniesie nas do systemu słonecznego, a tam już wezwiemy pomocy.

I znów szliśmy niekończącymi się korytarzami, tylko obecnie Michał pozostawał w tyle. Potem skręcił do swej kajuty, a hermetyczne drzwi odcięły wszelkie dźwięki. Pomyślałem sobie, że ze swym charakterkiem Michał po prostu nie powinien być kosmonautą. Nie wolno okazywać swoich przeżyć w czasie wyprawy, kosmos to nie miejsce dla słabych. Ja również miałem ochotę gryźć palce do krwi, a jednak powstrzymywałem się, nie rzuciłem się na łóżko, by we wściekłej bezsilności walić pięściami w poduszkę. Wróciłem do nawigacyjnej. Praca przede wszystkim. Przed nami jeszcze dwadzieścia lat lotu.

Teraz, kiedy wszystko stracone, nie chciałem, po prostu nie mogłem pozostawać tu ani minuty dłużej i będąc w nawigacyjnej zaprogramowałem maszynie liczącej obliczenie kursu powrotnego z uwzględnieniem braku dwóch dysz pomocniczych. Zadanie nie było łatwe i maszyna miała sporo pracy. Wreszcie skończyła i ogłuszyła mnie wiadomością, że droga na Ziemię potrwa dwa lata dłużej.

Gdy maszyna przetrafiła miliony cyfr, siadłem w fotelu i zamyśliłem się gorzko. Ech, gdyby te automaty umiały wybierać z dwu nieszczęść — mniejsze! Co ostatecznie mógł nam zrobić maleńki meteoryt? Powiedzmy nawet, że przebiłby statek na wylot. Przecież taka awaria, zostałaby w pół godziny zlikwidowana! A teraz...

Nagle jakby mnie coś ugryzło. Odwróciłem się gwałtownie. Michał stał za mną. Twarz miał zimną i zdecydowaną.

— Wiesz, stary... — odezwał się — spróbuj choć raz nie zdziwić się zanadto: ja zostaję.

Prawdę mówiąc, nie zdziwiłem się. Podświadomie spodziewałem się czegoś takiego. Tym nie mniej serce mi ścisnęło przeczucie nieszczęścia.

— Gdzie zostajesz?

— Tam — wskazał na ekran. Pomyślałem, że jedynie twarda, bezlitosna logika może go przywołać do rozsądku.

— Misza! Statek nie wyląduje, a szalupy nie mamy.

— Spuszczę się na bojerze — przerwał — i na spadochronie. Poczułem, że ciarki przeszły mi po grzbiecie. Ten człowiek zwariował. Bojer była to maleńka rakietka z uchwytami. Trzymając się ich, można było odbywać maleńkie spacerki po kosmosie. Zapas paliwa starczał na niecałe dwie godziny. Michał chciał nią wytracić prędkość orbitową, by opadać na planetę pionowo i nie spłonąć, a po wejściu w gęściejsze warstwy atmosfery otworzyć spadochron.

Walcząc z drżeniem rąk wystukałem ten wariant na maszynie liczącej. Prawdopodobieństwo pomyślnego lądowania było równe jednej setnej. Michał ani drgnął.

— Choćby jednej milionowej! — powiedział. — Jeśli jest choćby najmniejsza możliwość — spróbuję.

— To dlaczego nie oczysz w kosmos ot tak, bez skafandra? — zapytałem złośliwie.

Daję słowo, że spojrzał na mnie ze współczuciem.

— Powrót z niczym — to byłoby dopiero samobójstwo. To nie tylko samobójstwo — to zdrada! Tak, tak! Zdrada! — krzyknął w rozdrażnieniu, choć nie pisnąłem ani słówka. — Zdrada wobec tych, co pomarli. Przez ten czas, który przeleżeliśmy w anabiozie, na Ziemi minęło trzysta dwadzieścia cztery lata, ci, których tam znaliśmy, umarli. I wnukowie ich nie żyją. Lecz naszym obowiązkiem jest wykonać ich testament. Przypomnij sobie akademika Sergiejewa, jego słowa na pożegnanie: „Chłopcy, lecicie ku marzeniu, miną stulecia, nowe pokolenia Ziemian z podręczników tylko znać będą naszą epokę. I nagle zjawiacie się wy. I to nie z pustymi rękami. Ale przynosicie w darze nową planetę, zamieszkałą przez rozumnych braci. To będzie dar godny naszej epoki... Dziadowie dali nam Księżyc i Marsa, ojcowie cały system słoneczny. My, naszym potomkom, damy Galaktykę..." — Michał z trudem łapał oddech. Na zapadniętych policzkach wystąpiły czerwone plamy. — Dla tego marzenia wyrzekliśmy się wszystkiego — rodziny, przyjaciół, bliskich, a nawet wyrzekliśmy się swojej epoki. A wyrzec się swej epoki — to rzecz najgorsza. Lecz jeszcze gorszą byłoby rzeczą, gdyby te ofiary poszły na marne. Po nas, po naszych czynach, będą sądzić o ludziach naszej epoki. Jesteśmy ich dłuż-

Dokończenie na str. 8

Rys. W. Lewiński

OBCA PLANETA

Dokończenie ze str. 7

nikami. I chcę, byśmy nie musieli się wstydzić!

— Czy ty nie za wiele bierzesz na swoje barki? — krzyknąłem, zrywając się z fotela. W tym momencie byłbym gotów go zabić. — Nasze pokolenie nie potrzebuje reklamy. A zresztą przez te parę wieków ludzie chyba na tyle nie zgłupieli i zrozumieją, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Choć, mówiąc szczerze, nic właściwie nie zrobiliśmy, ale to już nie nasza wina. Kodeks Praw Kosmosu powiada wyraźnie...

— Stop! — zawołał Michał z uśmiechem. — Przypomnij sobie tylko, ile to poprawek wniesiono do Kodeksu za naszej pamięci? A ile ich można było wnieść przez trzysta lat? I kto wie, jak Kodeks obecnie każe postępować i czy nie będą nam mieli za złe ślepego posłuszeństwa naszemu Kodeksowi?

Umilkł. Ja też milczałem. A później Michał zbliżył się i objął mnie:

— A więc stary, postaram się wykonać zadanie. Kiedy powrócisz na Ziemię i zorganizujesz nową ekspedycję...

— To ty już od dawna nie będziesz żył! — zawołałem w rozpaczy.

— Racja. Lecz na planecie pozostaną moje ślady. Oczywiście, ciebie już nie puszczą w nowy lot. Pod tym względem Kodeks się chyba nie zmieni. Ale ci, którzy tu dotrą, ujrzą, że są oczekiwani. Do tego czasu mieszkańcy planety zapomną, gdzie leży mój grób, ale legendy o mnie jeszcze pozostaną. Legendy o mnie i o moich braciach, którzy tu kiedyś przylecą...

Więcej nie rozmawialiśmy. W milczeniu otwarłem śluzy, w milczeniu uścisnąłem go na pożegnanie. A potem, przez trzy godziny siedziałem przy ekranie, śledząc maleńką kropkę, dopóki całkiem nie zniknęła.

*

Michał mimo wszystko wylądował. Według jego własnych słów — pomyślnie. Co prawda coś mu się stało z nogą. Nie powiedział co, ale z napięcia w głosie domyśliłem się, że bolała go porządnie. Zdążył już jednak nadmuchać namiot i szykował się do odpoczynku po trudach lądowania. Planeta mu się podobała. Zapewniał, że tamtejsze powietrze ma zapach fiołków. Nim wyłączył na zawsze radiostację, przesłał pozdrowienia dla Ziemi. I wtedy dopiero po raz pierwszy zadrżał mu głos.

Włączyłem silnik i automaty wprowadziły mój statek na kurs powrotny. Za parę godzin skończy się przyśpieszanie i położę się do wanny anabiotycznej. Planeta już dawno zmieniła się w maleńką, błękitną kropkę, a w oczach wciąż mi stoją białe miasta oblane ciepłymi promieniami niedalekiej gwiazdy.

Nie wiem, co myśli o mnie Michał, ale w jednym wypadku się pomylił. Ja wrócę. Wrócę pomimo wszystko i nie zatrzyma mnie żaden Kodeks. Wrócę, by również wykonać zadanie.

KONIEC